

NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 17

Katowice, 1-go maja

1932

Na niedzielę 5-tą po Wielkanocy.

EWANGELJA

zapisana u św. Jana, rozdz. 16, w. 23—30.

W on czas: Mówił Jezus do uczniów swoich: Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: o cokolwiek poprosicie ojca w imię moje, dam wam. Dotychczas o nic nie prosiście w Imię moje. Proście. a otrzymacie, aby radość wasza była pełna. To mówiłem wam w przypowieściach. Nadchodzi godzina, kiedy już nie będę do was przemawiał w przypowieściach, ale otwarcie o Ojcu opowiadać wam będę. W owym dniu prosić będziecie w imię moje; nie mówię wam wszelako, że to Ja prosić będę Ojca za wami. Sam bowiem Ojciec miłuje was, gdyż wysście Mnie umiłowali, i uwierzyliście, że Ja od Ojca wyszedłem. Wyszędłem od Ojca i przyszedłem na świat; opuszczam znowu świat i wracam do Ojca. Mówią doń uczniowie Jego: Oto teraz otwarcie mówisz, i nie opowiadasz żadnej przypowieści. Teraz mamy pewność, że wiesz wszystkó, i nie potrzebujesz, aby Cię pytano. Dlatego wierzymy, żeś od Boga wyszedł.

NAUKA.

Człowiek jest koroną stworzenia, najdoskonalszym tworem Boga! Jest równocześnie jedyną istotą, obdarzoną rozumem, za pomocą którego poznaje wszechmoc i majestat Stwórcy, przejawiający się w dziele stworzenia, a zarazem swoją słabość i nędzę! W poczuciu swej zależności od potężnego Stwórcy winien człowiek temuż Stwórcy dożgonną służbę przez pracę i modlitwę! **Modlić winien się każdy człowiek!** Pracą, pełnieniem obowiązków swego stanu choćby najwierniejszem, wykonujemy tylko jedną część zadania naszego życiowego. Aby sprostać zupełnie powołaniu wyznaczonemu nam przez Boga, trzeba się także **modlić!** Dzisiaj ludzie tylko w pracy upatrują zadanie człowieka na ziemi, a o modlitwie zapominają! „**Módl się i pracuj**“ było hasłem czasów minionych, cza-

sów pod niejednym względem szczęśliwszych niż nasze! Dzisiejsza ewangelja, przypominając nam obowiązek modlitwy, zdaje się nawoływać do surowego przestrzegania szcżytnej zasady: **Ora et labora, módl się i pracuj!**

Ponad obowiązkiem pracy nawet stoi obowiązek modlitwy! Człowiek nie modlący się nie spełnia najkardynalniejszej powinności swojej życiowej! Świadomość obowiązku modlitwy głęboko zawsze nurtowała w duszy ludzkiej. Stąd też jak nie było narodu bez religii, nie było i nie będzie religii bez przykazania modlitwy! Starożytni Rzymianie uważali za niedorzeczność uchylanie się od modlitwy! Sama nazwa, jaką mieli dla modlitwy, oratio, wywodząca się od os, usta, wskazuje na to, że właśnie w modlitwie upatrywali oni główny cel mowy ludzkiej! Jakież więc wzniosłe pojęcie o modlitwie u tych, którzy ani nie znali prawdziwego Boga, ani wiedzieli, nieświadomi przeznaczenia człowieka, o co prosić mieli!

My znamy Boga i wiemy, o co Go prosić mamy! Cóż więc sądzić o tych, co się nie modlą? Zaczynają dzień Boży i kończą go jak te nierozumne stworzenia, wstające z barłogu swojego i kładące się na nim do spoczynku, bez żadnej innej troski i myśli, jak tylko, aby to marne opędzić życie!

Do modlitwy zmusza człowieka dola jego, los biednego wygnańca ziemskiego! Czyż mało na świecie nędzy! Czyż może jest jej mniej w naszych postępowych czasach, niż dawniej? Ludzie dziś coraz nieszczęśliwsi. A jednak! Nie wstydzą się ludzie dziś żebrać, poniżać się i rękę wyciągać **do człowieka, ale do Boga i Stwórcy** w kornej modlitwie unieść dłonie, na to nie pozwala pycha ludzka!

Zachęceniu obietnicą Zbawiciela, módlmy się! Da nam Bóg „o cokolwiek Go prosić będziemy“. Ale prosimy „w imię Jezusa!“ I módlmy się tak, jak On się modlił w chwili cierpienia i trwogi: „Ojcze, jeżeli możliwe, niechaj odejść ode mnie ten kielich, wszakże nie moja, ale Twoja niechaj się stanie wola!“

Składajmy hołdy Królowej naszej!

„Panno! Królowo Sarmackiej ziemi,
Oddal zagubę od naszej głowy!“

X. Maciej Kazimierz Sarbiewski.

Jak dobre dzieci w rodzinie prześcigają się w czci dla matki, tak narody katolickie w składaniu hołdów dla Matki Boga i ludzkości, Najśw. Marii Panny.

A bezwątpienia do najzarliwszych czcicieli Najśw. Marii P. należy naród polski. Myśmy ją sobie za Królową naszą obrali i publicznie jako taką okrzyknęli. Jedyny naród katolicki obok węgierskiego!

I mieliśmy do tego wiele powodów i przyczyn! Bo właśnie w przełomowych chwilach dziejowych, właśnie wtedy, kiedy okret naszej Ojczyzny rozrzucone porywały bałwany i wciągały już w czelustne wiry, właśnie wtedy objawiła się nam Maria jako gwiazda zbłąkanym żeglarzom, mówiąc do nas: „Otaczam ziemię dłońami moimi jako niebem błękitnem i w każdej chwili na każdym miejscu, każdemu dobremu duchowi zapalam się i świecę gwiazdą ranną“. (Mickiewicz, „Słowa Najśw. Panny“.)

Oto choćby dwie takie dziejowe chwile.

1655 rok, pamiętny nie tylko w dziejach Polski,

ale w dziejach całego Kościoła. Przedmurze chrześcijaństwa na wschodzie Europy zachwiało się pod naporem wrażeń zastępów szwedzkich i protestanckich. Karolus X. Gustavus zwycięski stąpa już po grobach królewskich na Wawelu, król prawowity Jan Kazimierz ratował się ucieczką na Śląsk, kraj niemal cały zalany potopem wrogów. Wtedy to arka zbawienia staje się Częstochowa. Wtedy to od blasków cudownego obrazu na Jasnej Górze zapalają się błyski bohaterskie nie tylko w oczach załogi miejscowej, ale w oczach wszystkich, zdalnych do korda.

Wówczas to naród wdzięczny za opiekę doznana okrzyknął sobie N. Marię P. jako swoją Królową.

A druga chwila złowrogo nam codopiero łopotała nad głowami. Pamiętamy dobrze to gorące lato r. 1920 i te gorętsze jeszcze opał bolszewickie. Zdawało się, że Polska już runie pod kosmatą pięścią czerwonego najeźdźcy, że rozpocznie się okres nowej niewoli, stokroć straszliwszy od poprzedniego. I wtedy to naród znękany zwrócił błagalnie oczy do Tej, która już tylokrotnie okazała mu się nie tylko dobrotliwą Matką, ale i przemożną Królową. Uratowała tyle razy Polskę monarszą, więc i o republikańskiej nie zapomni. Słusznie tak rozumowano wówczas, słuszniej szturm modłów przypuszczano do Jej tronu. I wysłuchiwała nas. A na znak, że ona Królowa Korony Polskiej, miała udział w zwycięstwie stało się jutrznią Cudu nad Wisłą.

Ale Ta, co urzędowo była ogłoszoną naszą Królową i której publicznie po kościołach wzywaliśmy zawsze w litanii loretańskiej, żyła jako Królowa w sercach co najszlachetniejszych synów narodu.

Pamiętam, jak obchodziłem w r. 1925 po raz pierwszy święto Królowej Korony Polskiej. Było to na obczyźnie, a jednak nie na obczyźnie, bo w domu Ojca św., który właśnie to święto był ustanowił i nam o głębokim znaczeniu tego święta mówił. I dziś, kiedy to sobie przypominamy, kiedy złączymy ze wspomnieniem Konstytucji Majowej, kiedy widzimy, jak rocznice narodowe splatają się u nas i jednoczą z świętami kościelnymi, winniśmy tem ściślej naszą miłość Ojczyzny zespolić z miłością Wiary i tem goręcej za konfederatami polskimi się modlić:

„Bo nieprzyjacieli na to się usadził,
By sługi Twoje z Ojczyzny wygładził.
Przyczyn się Panno, a Twoją obroną,
Pokaż łaskę Twą nad naszą koroną“.

X. N. C.

Uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego.

Wniebowstąpienie Pańskie obchodzi Kościół w 40 dni po Zmartwychwstaniu. Św. Grzegorz Niseński nazywa to święto „Epismon“, czyli zbawienia. Najdawniejsza wzmianka o tem święcie, uroczystości obchodzonej w Kościele od najdawniejszych czasów, doszła nas z Konstytucyj Apostolskich, zebranych ok. 300 r. (ks. 8).

Przez przeżywanie obrzędów święta Wniebowstąpienia Kościół pragnie wzmocnić w nas wiarę w oglądanie Boga w chwale wiekuistej. Czterdziestego dnia po Zmartwychwstaniu wśród zgromadzonych w wieczerniku apostołów zjawił się Pan Jezus. Pouczał ich i napominał, a przed rozstaniem rozkazał im iść na cały świat, głosić Ewangelię (Mar. XVI, 15—16). Połeciwszy apostołom, aby nie opuszczali Jerozolimy przed otrzymaniem Ducha

św. (Dz. I, 4—5), wyprowadził ich Chrystus Pan ku Betanji na Górę Oliwną. Tu zapowiedział zesłanie Ducha św. (Dz. I, 8). Następnie, podniósłszy ręce swe, błogosławił zebranych i „był niesiony do nieba“ (Łuk. XXIV, 50—51), a obłok zakrył Go przed oczami obecnych. Gdy uczniowie stali ze wzrokiem, utkwionym w górę, ukazali im się dwaj mężowie i rzekli: „Mężowie galilejscy, czemu stoicie, patrząc w niebo? Ten Jezus, który wzięty jest od was do nieba, tak przyjdzie, jakoście Go widzieli idącego do nieba“. Uczniowie wówczas oddali pokłon Panu i z weselem wielkim wrócili do Jerozolimy (Łuk. XXIV, 52).

Wniebowstąpienie to dzień tryumfu Chrystusa Pana. Jako stały dzień tego święta wyznaczono czwartek, dzień, w którym Chrystus Pan ustanowił Najśw. Sakrament. Dawniej w tym dniu błogosławiono chleb i pierwsze owoce na pamiątkę ostatniego posiłku, jaki Chrystus Pan dzielił w tym dniu z Apostołami w wieczerniku. Symbolem liturgicznym świąt Wielkiejnocy jest świeca paschalna, którą zapalają w czasie rezurekcji. Światło jej w ciągu dni 40-tu przypomina nam przebywanie Chrystusa Pana wśród ludzi po Zmartwychwstaniu.

Liturgia święta Wniebowstąpienia, modlitwy mszalne tchną radością i triumfem. Introit dnia tego podkreśla, jak wielka uroczystość zgromadziła nas w świątyni, i radośnie nawołuje do oddawania czci Panu Zastępów. Składa się on ze słów aniołów, jakie wyrzekli na Górze Oliwnej po wstąpieniu Jego do nieba, oraz z wersetu psalmu. W Kolekcje zawarta jest prośba o połączenie myśli i serc wiernych z Chrystusem, przebywającym w niebie. Lekcja przypomina ostatnie chwile pobytu Chrystusa Pana z apostołami po zmartwychwstaniu. Kończą ją dwa radosne „Alleluja“ i dwa wersety z psalmów Dawida, sławącego triumfalne zstąpienie Chrystusa Pana do niebios wraz z duszami, które wybawił. Ewangelja streszcza ostatnie napomnienia Chrystusa Pana, jakich udzielał apostołom, przywodzi na pamięć posłannictwo, które im powierzył, wreszcie zaznacza, że apostołowie natychmiast zadanie swoje spełniać poczęli a prace ich utwierdzał Bóg cudami.

Po Ewangelji akolita gasi świecę paschalną. Pan Jezus opuścił ziemię i poszedł do Ojca, jak to zapowiedział: „Opuszczam świat i idę do Ojca, który Mnie posłał“ (Jan XVI, 28). Wierni odtąd dążyć będą do nieba, gdzie ich Pan przebywa, by połączyć się z Nim na wieki.

W Ofiarowaniu Kościół znów słowami psalmisty wyraża radosny triumf Zbawcy, wstępującego do nieba, a w Sekrecie po uwielbieniu chwalebnego Jego wstąpienia do nieba błaga o wybawienie nas od niebezpieczeństw chwili obecnej i o zbawienie dla nas. Prefacja przypomina Zmartwychwstanie i podkreśla myśl, że Pan Jezus wstąpił do nieba, by nas uczestnikami Swego Bóstwa uczynić. W Komunii prorocstwo Dawidowe, przed laty tysiącem przepowiadające wstąpienie Jezusa do niebios, „na Wschód słońca“ (Góra Oliwna, skąd Chrystus wstąpił do nieba, położona rzeczywiście na wschodniej stronie Jerozolimy). W modlitwie po Komunii Kościół błaga Pana Zastępów, byśmy dostąpili skutków niewidzialnych Najśw. Tajemnic, które pod widzialnymi przyjęliśmy postaciami.

Chrystus Pan odszedł ze świata, ale żyje w Kościele, który wiedzie wiernych swoich za Nim krok za krokiem; wskazując tajemnicę Jego życia i łącząc ich z Nim tutaj na ziemi, przygotowuje do wiecznego, radosnego z sobą obcowania w niebie.

Ostatni sen matki.

Daleko na morzu północnem, na niewielkiej wyspie, leży mała wioska rybacka. Małe ubogie chaty stoją w miłym nieładzie rozrzuczone; jedne schroniły się poza wydmy, szukając zacisza przed wiatrem; inne wspięły się na brzeg skalisty, który kredowymi rozpadlinami prostopadle w morze zapada. Wąskie, w kamieniu wykute schody prowadzą od nich ku morzu.

Kiedy jest pogoda, a mgła nie zalega morza, widać z wioski skalistą w dali wysepkę, nie zamieszkaną przez nikogo. Dzikie to i nieurodzajne skały kredowe, w których gnieźdzą się tylko mewy. Gdy rybak zajędzie tam łodzią we wąskie zatoki skał, celem zarzucenia sieci, zrywają się mewy stadami, a piszcząc i krzycząc przeraźliwie, krążą nad głową nieproszonego gościa.

Właśnie odbiła od tych skał mała łódź rybacka, kierująca się ku wiosce. Wiosłem pracował zrecznie i silnie młody chłopak. Brunatny kapelusz nacisnął na czoło, a z pod jego krysy wyglądały dwa żywe i bystre oczy. Słońce chyliło się ku zachodowi, ginąc zwolna wśród stałowych, grubych chmur. Zimny wiatr pociągał coraz silniej, popychając coraz większe fale ku łodzi.

Chłopak nieustraszony rozpychał spokojnie fale i dobił do brzegu. Wskoczył na ziemię, wyciągnął łódź z wody, i przywiązał ją silnie do pala. Rozwiesił sieć dla wysuszenia, wziął z łodzi wiązkę drzewa, zarzucił na ramię, i lekkim krokiem wspinał się schodami na górę. Kiedy stanął na szczycie, przewłożył rękę do oczu, i rozglądał się chwilę po niebie i morzu.

— Dziś w noc nadciągnie burza — rzekł do siebie — ale nie potrwa długo. Zachód zaciąga się coraz groźniej, na wschodzie jasno, rano będziemy mieli już pogodę. Dobrze zrobiłem, wracając zawczasu.

Odwrócił się i szedł ku wiosce skalistą równiną, porośłą żółknącą w jesieni trawą. Poza wioską widać było ciemny las szpilkowy, który czubkami świerków i iodeł strzelał ostro ku niebu.

„Abo“ — zawołał chłopak głosem młodym, domnosłym. Zaraz odezwało się wesołe beczenie owcy, która uwiązana na sznurce do pala, spoczywała w trawie. Zwróciła się, biegnąc do swego pana, tak daleko, o ile na to pozwalała długość sznura. Kiedy chłopak zbliżył się do owcy, przyskoczyła, opierając o niego przednie łapy. Chłopak podrapał ją po uszy i rzekł przywiąznie:

— Spałaś już Abo? Najadłaś się już do syta? — Poglaskała swą ulubienicę po gęstej wełnie, opuścił ją na ziemię i pospieszył do chaty.

Starł to był domek. Jedną stroną pochylił się już ku ziemi. Dach pokrzywił się i groził łada chwila zawaleniem. Nie było za co zrobić odpowiedniej naprawy.

Chłopak wszedł ostrożnie do izby, zrzucił wiązkę drzewa i delikatnie wyrzekł: „Mamo!“

— Jesteś nareszcie, mój Eryku! — odpowiedział głos słaby, a dwie zwiędłe, wychudłe ręce wyciągnęły się z łóżka ku przybyszowi.

— Znowu jesteś dziś chora, mamó? — rzekł syn, przypatrując się matce stroskanym wzrokiem.

— Chora nie jestem, — pocieszała go matka — ale jestem znowu jakaś bezsilna. Tak mi słabo i mdło, że musiałam położyć się do łóżka. Ale teraz już mi lepiej, gdy cię widzę. Czy złapałeś co dzisiaj?

— Cały dzień pracowałem napróżno. Ani jedna rybka nie przyszła do sieci. Nadciąga burza, więc wróciłem do domu. Głowa matki opadła na poduszki. Nadzieja jej została zawiedziona. Spostrzegł to Eryk.

— Patrz, matko, — rzekł pocieszając ją — ułowiłem natomiast wiązkę drzewa. Wyrzuciła ją woda na skały kredowe. Zapewno rozbiła się jakaś łódź, i z niej przyniosła woda do nas tę wiązkę. Zimno jesienne dokucza nam nie na żarty. Porąbaj drzewo i roznieć ogień. Będzie nam cieplej i weselej!

Pochwycił za siekiere i począł rąbać polana na drobne szczypy. Muszkułarne dłonie wznosiły do góry siekiere i spuszczał ją na dół. Miarowe, jednostajne uderzenia napępiały izbę. Kiedy robota była skończona, rozniecił Eryk ogień.

Matka pełnym miłości wzrokiem śledziła pracę syna, i cieszyła się, kiedy rozniecił wielkie ognisko.

Usiadł Eryk zmęczony i odpoczywając rozglądał się po belkowanej izbie. Z każdego kąta wyglądało wielkie ubóstwo. Stół, dwa stołki i dwa łóżka, oto cały majątek. Nad łóżkiem matki wisiał drewniany krzyż, który Eryk wyrzeźbił w długich wieczorach ostatniej zimy. Krzyż ten często miała w swych rękach matka, i gorącemi zrosiła go łzami, gdy długo syn nie powracał, a burza srożyć się począł na morzu.

— Mamó — a mamy co do jedzenia?

— Niestety, niema nic! Ostatni kawałek chleba wzięłeś rano, wyprawiając się na morze.

— Nie wiedziałem o tem, — rzekł zafrasowany chłopak. — Dlaczego nie zjadłaś go ty, mamó, jesteś przecież chorą. Ja mogę dłużej pościć, i głód przetrzymać.

— Nie jestem głodną, — odpowiedziała matka, wymawiając z trudnością te słowa. Po chwili rzekła:

— Musimy inaczej urządzić nasze życie. Ty oddawna masz ochotę zostać majtkiem na wielkim okręcie. Zarobisz tam więcej, niż łapiąc tu ryby. Nie chcesz mnie jednak opuścić. Wiem o tem, że dobrym jesteś synem. Tak być nie może jednak. Ja pójdę na służbę i na życie zarobię.

— Ach, nie mów mi mamó o tem! Trudno, raz ryba się łapie, drugi raz nie. Gdybym dzisiaj dłużej siedział na morzu, byłbym może coś przyniósł, sprzedałbym i kupił chleba. Pospieszyłem się jednak niepotrzebnie. Alboż to ja jedną już burzę przeżyłem na morzu?

Dorzuć drzewa do ogniska, usiadł na wiązce drzewa i zadumał się. Matka osłabiona, rozmarzona ciepłem buchającym od ogniska, zdrzemnęła się na chwilę.

— A gdybym jeszcze raz puścił się na morze, i zarzucił sieć na noc w rozpadlinach skalistej wyspy? Przez noc możeby się coś uловиło, a jutro rano pojedę ściągnąć sieć, i sprzedam ryby.

Nie namyślał się długo. Wyszedł cichutko z chaty, aby nie budzić matki, szybkim krokiem doszedł do schodów, spuścił się na dół, rzucił sieć do łodzi, pchnął ją na morze i powiosłował ku skałom. Morze szumiało złowrogo, ale czy to nie jeździł po większych bałwanach? nie pokonywał straszniejszych burz?!

* * *

W izbie tymczasem wypaliło się drzewo, przgasło ognisko i zrobiło się ciemno. Zbudziła się chora kobieta i nadsłuchiwała w ciemności. Nie słysząc żadnego szmeru, zawołała na syna.

Zadnej odpowiedzi.

Znowu cisza. Zapaliła świecę i rozglądała się po izbie. Na łóżku nie było syna.

Czekała chwilę. Może wyszedł do owcy, wróci wkrótce. Mijały kwadranse, a chłopca jak niema, tak niema. Wiatr coraz gwałtowniejszy huczał, belki trzeszczały, zdawało się, że rozleci się chata. Lęk ją ogarnął.

Wstała, ubrała się, wyszła przed dom. Zobaczyła drabinę przystawioną do strychu. Może poszedł tam spać. Zaglądała na strych, nie było tu syna.

Serce poczęło bić jej coraz niespokojniej. — Gdzieby on mógł być, co by go wypędziło z chaty? Może pilnuje owcy? — Wyszła na kamieniste błonie, odszukała owcę, ale syna nie było.

— Eryku, Eryku? — wołała. Wiatr porywał słaby głos i niósł go hen daleko na morze. Owca łasiła się około swej pani, ale pocieszyć jej nie mogła.

Dreszcz wstrząsnął kobietą. Otuliła się silniej chutką i poszła nad brzeg skały. — Może syn poszedł do łodzi naprawiać siecie?

— Eryku! Eryku! — Nadśluchiwała chwilę. Zadnej odpowiedzi. Wzburzone morze hucząc i szumiąc rzucało swoje wody ku brzegom wyspy. Wiatr wyl złowrogo, i rozwiewał jej szaty. — Może on tam na dole przymocowuje siecie i łódź, aby je morze nie ukradło? Nie odpowiada, bo nie słyszy mego głosu.

Zeszła na dół po schodkach. — „Eryku, Eryku!“ — wołała, krążąc po brzegu. I teraz zawiodły ją nadzieje. Ręce załamała z rozpaczy. Przecież nie pojechał na morze w taką burzę. W dzień nie byłoby dla łodzi rybackiej ratunku, a w nocy — pewna zguba.

Biegła nerwowo brzegiem wyspy. Tutaj stoi łódź sąsiada; tutaj łódź najstarszego rybaka z naszej osady; obok niego stanowisko naszej łodzi.

— Boże, niema todzi! — jęknęła boleśnie, i upadła na ziemię. Wnet orzeźwił ją zimny wichur. Nie chciała poddać się rozpaczy. Jeszcze ożywił ją blask nadziei. Może bałwan zerwał łódź Eryka, odrywając ją od pą, ale sieć wisi zapewne przy ścianie skały. Bez niej nie pojechał syn na morze. Drażki, na których suszyły się zawsze siecie Eryka, stały puste!

Wstała po chwili i chwiejnym krokiem wspinała po kamiennych schodach do góry. Z wielkim trudem powłokła się do chaty, smagana wichrem i deszczem. Rzuciła się bezwładnie na łóże, chwytając się ręką za piersi. Każdy oddech był dla niej męką. Rzneło ją w piersiach, jakby ostremi nożami.

Zdjęła ze ściany krzyżyk drewniany, przycisnęła go do serca i westchnęła: „Mój Boże! zlituj się nademną! Kiedyż skończą się moje cierpienia. Ucałowała krzyż. Dwie gorące łzy spadły na niego, poczem zrobiło się jej nieco lżej. Wyczerpana zapadła w gorączkowy sen.

Zdawało się jej, że krzyż drewniany rośnie, rośnie w nieskończoność. Coraz większy jego ciężar, już go unieść nie zdołała. Tymczasem łzy jej przepłakane od śmierci męża, zebrały się razem i urosły we wielkie morze. Fale wody rosły wyżej, coraz wyżej, aż do brzegu, nad którym ona usiadła. Zahuczały wichry, wzburzyły morze i rzuciły krzyż jej na jego bezmiar bez granic. A krzyż był już taki wielki, taki ogromny, taki bezmierny — jak to morze.

— Tak wielkim jest krzyż, a jak ciężki, —

westchnęła biedna kobieta. I poczęła gorzko płakać. Naraz usłyszała głos z oddali. Nikt byłby nie poznał i nie zrozumiał tego głosu, ale mimo zagłuszających w około fal, poznało go serce matki.

— Przybądź mi na pomoc — wołał Eryk. Czyż mię nie widzisz? czemuż nie spieszysz mi na pomoc? Łódź moją rozbiły wichry o tę podwodną rafę, a bałwany podniosły ją w dal. Uczępiłem się rąf i trzymam kurczowo. Fala jednak rośnie wyżej, coraz wyżej. Coraz nową pomoc przynosi jej wichur, coraz obfitsze wody bałwanów. Jeszcze chwila, chwileczka — a zaleją mię. O matko, przyjdź i ratuj mię!

Patrzy matka, jakaby droga mogła się dostać do syna. Przed nią leży krzyż olbrzymi na poprzek wód morskich i ramionami sięga aż do syna. Przeżegnała się, westchnęła do Boga, a krzyż zmienił się w długi most bez końca.

— O matko, matko, podaj mi rękę ratunku, — wołał coraz rozpaczliwiej Eryk. Głos jego był tak ostry i przenikliwy, że przebijał olbrzymią przestrzeń, i sięgał aż do uszu matki. Nie namyślając się, rzuciła się na most i bieda poczęła ku synowi. Aliści silny podmuch wiatru przewrócił ją.

— Matko, matko, — coraz rozpaczliwiej wołał Eryk. Podniosła się i zbierając sił ostatek, biegła pospiesznie.

— Chodź prędzej, prędzej...

Biegła znowu chwile, ale tchu i sił jej brakło. Za każdym krokiem zdawało się jej, że ostrzy nóż przebija jej piersi.

— Nie mogę iść dalej, — jęknęła i padła na kolana. Puściły się jej łzy z oczu, widząc swą niemoc wówczas, gdy syn najwięcej potrzebował pomocy. A łzy padając w morze powiększały ilość wody, tak iż bałwany stawały się coraz wyższe. Tak obfitemi są łzy matki.

— Nie płacz matko — zawołał syn — gdyż musiałbym utonąć! — Osuszyla więc łzy, i siłą woli powstrzymywała swe rozrzewnienie. Zebrała siły i kroczyła powoli dalej. Drżał most pod jej krokami. Tak ciężkiem było serce kochającej i bolejącej matki!

Począł wichur wyc i huczeć. Starał się przerazić biedna matkę, spiesząc synowi na pomoc. Bałwany rzucały się już na most, i tamowały jej chód. Ale kobiecina nie zważała na przeszkodę, nie lękała się grózb i przestraszów. — Szła niezłomnie dalej i dalej. Takie to jest poświęcenie matki! Czego to matka nie uczyni dla swego dziecięcia?

— Przybądź mi na pomoc, przybądź co prędzej, gdyż fale chcą mię pochłonać — wołał syn. Wyteżyła ostatnie swe siły i pospieszyła ku niemu. Ogarnęła ją mgła gesta, a ona biegła i biegła. Most zdawał się nie mieć końca. Kiedyż nareszcie dobije się do syna i poda mu rękę?

Teraz opuściły ją siły zupełnie, i ruszyć się z miejsca nie mogła. Nagle ogarnęła ją jasność niezwykła i zrobiło się dobrze i lekko na sercu. Aż oto na promieniach światłości zbliżył się ku niej ukochany syn Eryk. Podał jej rękę i uniósł ją z mostu ku górze. Spojrzała na dół, a tam rozszalałe morze przewalało swoje bałwany, wysokie jak kamienie, — i ziemia czarna, cicha, spowita w mgłę nędzy, kłopotów i smutków. Spojrzała ku górze, a tam jaśniał krzyż Chrystusa, świetny, płonący, promieniejący. Krzyż unosił się coraz wyżej i wyżej, — a Eryk prowadził ją za rękę za krzyżem, aż stanęli u podwoi niebios!

Dla obojga skończyła się ziemska nędza!